

PROSZYNA

PLSMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCY DOMOWEJ.

Nr. 1

BEZPŁATNY DODATEK.

Rok 1930

Cześć Marji.

Kolenda.

Wśród nocnej ciszy rozchodził się głos:
Świata w stajence rozstrzyga się los;
„Hej spieszajcie do stajenki
I cześć niesie dla Panienci, cześć Maryi, cześć!”

Wśród ciemnej nacy przedziera się blask,
Nad nędznym żłóbkiem zbawienia łśni brzask,
Tam w żłóbeczku, tam w stajence
Bóg urodził się Paniencie, cześć Maryi, cześć!

Anielskie plenie i blask jasných zórz
Woła: „Dziecinu, złóż rączeta, złóż!”
Złóż ręce święcie cały,
Nućże Matki Bożej chwałę, cześć Maryi, cześć!

Rozważanie tygodniowe.

Na Nowy Rok.

I tak znowu rok jeden zatonął w oceanie wieczności! Aniśmy właściwie pewnie nie zauważyli, jak niepowstrzymanym pędem dzień za dniem uchodził spokojnie, aż się wypełniła ich liczba w roku, bez względu na to, czy były radosne, czy pełne smutku, — i oto stajemy u wrót nowego z sercem pełnym życzeń i nadziei lepszej przyszłości, ale zarazem także pełnym lęku i niepełności.

Cóż nam może przynieść rok 1930? Sobie i znajomym życzymy wszyscy wiele dobrego, ale czy się też nasze życzenia spełnią choćby w części? My Czytelnikom naszym w miejsce życzeń noworocznych chcielibyśmy dać wskazówkę, jak w tym nowym roku mogą znaleźć prawdziwe szczęście, nie tylko przelotne, ale stałe.

W promieniach błogosławieństwa Bożego należy kroczyć po wszystkich drogach, po których Pan świata całego nas zechce poprowadzić. Dziećmi Boga jesteśmy i chcemy nimi być, czyż mielibyśmy wyrzekać i żalić się, jeżeli naszemu Ojcu w niebiesiech spodoba się w nieskończonej mądrości poprowadzić nas drogami, które nie odpowiadają wcale naszym życzeniom, naszej woli i naszym pojęciom o tem, co my ludzie nazywamy szczęściem? Czyż Ten, który nas stworzył nie ma mieć też prawa poprowadzić nas tak jak uważa za dobre i dla nas jest zbawienne? Nietylko na rok następny, ale wogóle na całe życie niechaj nam będzie prze-

wodnią myślą, że, co Bóg chce, to i my chcieć powinniśmy. Ojcu naszemu w niebiesiech pozostawmy troskę o naszą przyszłość, co On w swej nieograniczonej mądrości i dobroci rozporządzi, wyjdzie nam zawsze na dobre. Ta myśl niechaj będzie naszą niezłomną zasadą przy każdym przedsięwzięciu, ona będzie też podstawą naszego szczęścia.

W promieniach błogosławieństwa Bożego kroczyć także po drogach ciernistych, bo nie możemy żądać, aby na drogach naszego życia rosły tylko wonne róże. Postępując drogami ciernistymi i pełniąc krzyżowych doświadczeń i cierpień, miejmy zawsze w duszach wyryte płomienne słowa: Kto krzyżę nosi, nosi Boga! — Nie odracajmy przeto od siebie krzyża, jaki Pan Bóg na nas nałoży, a jeżeli nas ogarnie zwątpienie i rozpacz, natenczas niechaj wzrok nasz spocznie na wizerunku Tego, który dla zbawienia świata wziął na się krzyż, na którym skonał, a z pewnością serce nasze dozna ulgi. Ciężar żywota niejednego tak przygniata, że zrazu gotów zwątpić, ale później Bogu podziękuje za krzyż nań zesłany.

Jakieśdź przeto krzyż i cierpienia w roku przyszłym z woli Boga na nas spadną, nośmy je radośnie z ufnością zupełną w łaskę Jego, nie upadajmy pod ciężarem żywota, tylko kroczyć naprzód śmiało i pewni siebie, że Pan Bóg nam kiedyś policzy i wynagrodzi uciążliwości i troski tego świata. Niebó musimy sobie zdobywać wszyscy bez wyjątku, czy naszym udziałem jest życie wśród szczęścia i doczesnego wesela, czy też pełne cierpienia i dolegliwości. Obowiązki nasze spełniajmy sumiennie, choćby nam to sprawiało i kłopoty i trudy, bo to jest droga, która prowadzi do nieba. Nie zrażajmy się żadnymi przeciwnościami tego życia, a wtedy rok za rokiem mijać będzie i prędzej i swobodniej, aż nadejdzie chwila, kiedy poczynimy ostatni krok na tym padole ziemskim i zestawimy się z nim na zawsze, wejdziemy do przybytku wiecznego szczęścia w niebiesiech i otrzymamy nagrodę zasłużoną za życie spędzone po woli Bożej.

Święta noc.

(Dokończenie).

I znowu w tem miejscu przerwałam opowiadanie babci pytaniem: „A czemu to babciu, drzewce pasterza nie ugodziło w tego obcego człowieka, tylko go ominęło?” — Ale babcia moje pytanie pozostawiła bez odpowiedzi i spokojnie opowiadała dalej.

„Wtedy ów człowiek podszedł do pasterza i poprosił go: „Pomóż mi, przyjacielu i użycz mi nieco ognia! Żona moja powiła oto właśnie dziecko, muszę więc nanieść w domu ognia, aby im obojgu dać się ogrzać”.

Pasterz byłby najchętniej opryskliwie odmówił, ale gdy pomyślał, że psy nie zdołały wyrządzić żadnej krzywdy obcemu mężowi, że owce ani się nie ruszyły, gdy po nich deptał, i że jego drzewce w tak podpadający sposób ominęło przybysza, to jednak zrobiło mu się dziwnie na duszy i nie miał odwagi odmówić człowiekowi temu tak drobnej przysługi.

„Bierz, ile zechcesz, — rzekł więc krótko.

Ale ogień tymczasem prawie już zupełnie wygasł i nie było żadnych gałęzi, żadnego polana, aby je zapalić od ognia, tylko wielka kupa żaru, a obcy mąż nie miał ani łopaty ani wiadra do którego byłby mógł nabrać tłących się węgli.

Stwierdziwszy to, pasterz powtórzył: „Bierz, ile zechcesz!” — ciesząc się w duszy, że obcy nie mógł zabierać ognia. Ten jednakże, pochylwszy się, gołemi rękami nabierał węgli z pod gorącego popiołu i ułożył je na kraju płaszcza swego. I ani ręce jego nie poparzyły się, gdy chwycił żarzące się węgle, ani płaszcz jego nie zajął się od ognia, jakby to nie były rozpalone węgle, tylko orzechy lub jabłka.

Po raz trzeci przerwałam w tem miejscu babci opowiadanie pytaniem: „Dla czego to, babciu, węgle nie poparzyły człowieka obcego i nie spaliły mu płaszcza?” A babcia na to: „O tem się już dowiesz, tylko poczekaj! — a potem tak dalej opowiadała.

„Pasterz, który w gruncie rzeczy był człowiekiem złym i surowym, począł tedy rozważać wszystko, co był widział na własne oczy i dziwić się coraz więcej. Co to może być za noc nadzwyczajna, że psy moje, tak ostre zazwyczaj, nie potrafią ukąsać obcego człowieka, że owce go się nie lękają, że ogień go nie parzy i nie pali? — Przywołał więc przybysza i zapytał go się wprost: „Co to jest za noc? Czem się to dzieje, że tak stworzenia żywe jak i bezduszne przedmioty są takie względne i litościwe?” — A ten na to: „Ja ci tego powiedzieć nie mogę, jeżeli ty sam tego nie widzisz”, — poczem począł wracać, skąd był przyszedł, dzierżąc w płaszczu żarzące się węgle.

Pasterz postanowił tedy pójść za nim choć z daleka, ażeby się dowiedzieć, co to wszystko miało znaczyć. I szedł za nim, aż doszli do jego siedziby.

Tam się przekonał, że obcy mąż nie posiadał ani skromnej chatki, w którejby mieszkał, tylko swą żonę i swe dzieci umieścił był w jaskini, w której widać było tylko gołe, zimne ściany kamienne. W takim miejscu musiałoby niewinne niemowlę zmarznąć, — pomyślał na ten widok pasterz i choć być człowiekiem twardego serca, tak się tą myślą przejął, że postanowił pomóc dziecku. Zdjął z ramion swój tłomoczek, wyjął z niego miękką skórę owczą i dał ją owemu mężowi, aby na niej dziecko ułożył. W tejże chwili, w której okazał, że i on potrafi być miłosiernym, otworzyły mu się oczy i ujrzał, czego przedtem nie chciał widzieć, usłyszał, czego poprzednio nie chciał słyszeć. Ujrzał oto, że wkoło niego stały w rzędzie gęstym małe aniołki ze srebrnemi skrzydełkami, a każdy z nich dzierżył w dłoniach lutnie, i wszyscy głośno nucili, że w tej właśnie nocy, narodził się Zbawiciel, który miał świat cały wybawić z jego grzechów. Wtedy pasterz zrozumiał, dla czego wszystko stworzenie, wogóle wszystko na ziemi się radowało, że jedno drugiemu nie chciało wyrządzić żadnej krzywdy. Widział, że aniołowie stali nie tylko koło niego, ale wogóle wszędzie, w jaskini, jak i na górze i że ulatywali aż hen pod niebiosa, a każdy zatrzymał się przed Dzieckiem i spoglądał na nie z

uwielbieniem. Najczystsza radość panowała naokoło, wesele i śpiew rozbrzmiewały onej nocy ciemnej, w której poprzednio nie umiał się niczego dopatrzeć. I w jego sercu zapanowała radość, że oczy naprawdę stały się teraz widzącemi, tak, że upadł na kolana i podziękował Bogu jak mógł najgoręcej”.

Doprowadziwszy opowiadanie tak daleko, babcia westchnęła głęboko i dodała: „Co ów pasterz widział, to i my moglibyśmy widzieć, bo aniołowie w każdą noc wigilijną fruują na niebiosach, gdybyśmy ich tylko zdołali dojrzeć”. — A potem swym zwyczajem babcia położyła rękę na mą głowę i rzekła: „To sobie spamiętaj, moje dziecko, bo to jest taką prawdą, że ja ciebie widzę a ty mnie. Nic tu nie znaczą żarzące się świece i lampy, mniejsza o słońce i księżyc i gwiazdy, nam potrzeba oczu, któreby mogły dopatrzeć się i znieść widok wspaniałości Boga!”

Wysłuchane życzenia.

W sam dzień wigilijny zstąpił pewnego razu Pan Jezus z niebios na ziemię aby raz jeszcze uświęcić dzieło zbawienia świata. Gdziekolwiek się ukazał w swej promiennej postaci tam w ślad za Nim pojawiało się zupełne szczęście, spokój i radość niczem niezamącona, a ustępowała nienawiść, gniew i zatwardziałość. Uczucie rzewnej miłości ogarnęło świat cały.

Podchodzili do niego biedni i uciśnieni, smutni i chorzy, błagając Go o pocieszenie, i ulgę w uciążliwościach żywota, o zdrowie, i siły, a On, jako, że to był właśnie wieczór wigilijny, darował im, o co prosili i wszyscy odchodzili zdrowi i weseli, zadowoleni z Boskiego podarunku.

Opodal przy drodze, którą postępował, stały dwie dzieci: chłopczyk i dziewczynka, które chciały również o coś poprosić Pana Jezusa, ale nie mogły się długo zdobyć na odwagę, by przemówić, tak je onieśmieliła wyniosła świetlana postać Zbawiciela. Widząc jednak, jak ludzie doń zbliżali się tłumnie, a każdy odchodził uradowany i uszczęśliwiony, w końcu i one ośmieliły się i postanowiły Go również poprosić o podarunek wymarzony.

Pierwszy przystąpił chłopczyk i założywszy ręczki jak do modlitwy, rzekł drżącym głosem: „Panie Jezu! Tyś taki dobry, że nikomu nie odmówisz, gdy Cię o coś poprosi. Ja jestem bardzo biedny. Matusia moja choćby z duszy rada sprawić mi radość, nie może mi kupić żadnej zabawki, nie mam też ani braciszka ani siostrzyczki, któreby się ze mną bawiły, a dzisiaj wszystkie dzieci dostają piękne zabawki na gwiazdkę i bawią się niemi z rodzeństwem. Podaruj mi konika i wózek i zabaw się ze mną choć tylko przez krótki czas!

Pan Jezus spojrzał na chłopczyka z miłym uśmiechem, pogłaskał go po głowie i rzekł: „Dostaniesz, o co tak pięknie prosisz, ale bawić się z tobą nie mogę, bo mnie mnie wyczekują tysiące i miliony biednych nie-
szczęśliwych, którzy mnie również o coś prosić będą. Ale zato nakażę aniołkom, aby się ze sobą bawili. —

I w tej chwili gromadka aniołków otoczyła chłopczyka i wręczywszy mu konika z wózkiem, poczęła się z nim tak pięknie bawić, że odrazu zapomniał o swej biedzie i aż wykrzykiwał z radości.

Przykład chłopczyka dodał otuchy dziewczynce, która nieśmiało i drżąc cała z zimna, z utęsknieniem swe oczki zalawione wlepiła w twarz Chrystusową. Stanąwszy przed Nim, wyciągnęła ręczki zbiedzone do Niego i załamany z bólu i nieśmiałości głosem, łkając z przytłumionego płaczu, przemówiła w te słowa: „Ja jestem biedna sierotka, nikt mnie na świecie nie ko-

cha. Jedyna matka, która mnie kochała, przed rokiem zmarła. Mówili mi ludzie, że Tyś Wszechmocny, Ty wszystko możesz, a widziałam na własne oczy, żeś spełnił każde życzenie, z jakim się ludzie do Ciebie zgłaszali, — podaruj mi moją matkę, niechaj znowu będzie przy mnie!”

Z niewysłowioną słodyczą w oczach spojrzał Pan Jezus na sierotkę, położył na jej głowie swą boską dłoń i przemówił do niej głosem dźwięcznym jak dzwon srebrny: „Życzeniu twemu stanie się zadość. Jeszcze dzisiaj uściśniesz swą matkę”.

Po tych słowach zniknęła postać świetlana Pana Jezusa, zanim dziewczynka zdumiona zdołała podziękować za spełnienie jej najmilszego życzenia. Ale nieomal w tejże chwili zjawił się u jej boku anioł z białymi skrzydłami, ujął ją za rączkę i zaprowadził — wprost do nieba, u którego bramy już matka na nią czekała. Czyż podobna opisać szczęście biednej pogardzanej sierotki, gdy ją matka w niebie ze łzami w oczach przytuliła do swego łona.

Pierwszy wyjazd Ojca świętego z Watykanu.

Dnia 20 grudnia b. r. Ojciec św. całkiem niespodziewanie opuścił swą siedzibę we Watykanie i udał się samochodem do Bazyliki św. Jana w Lateranie, aby tam w 50 rocznicę swych święceń kapłańskich odprawił mszę świętą. O zamiarze wyjazdu Ojca św. wiedziało tylko najbliższe otoczenie Jego. Duchowieństwo kapituły przy Bazylice dowiedziało się o zamierzonym przyjeździe Ojca św. dopiero późno w nocy dnia poprzedniego, a że już od dwóch dni w Rzymie panował mróz silny, przeto nikt nie byłby pomyślał o wyjeździe Ojca św. w najbliższym czasie. Ojciec św. jako zahartowany na mróz od dawna, pojechał jednak i odprawił mszę świętą przed tym samym ołtarzem, przed którym dnia 20 grudnia 1879 roku ks. kardynał Valletta udzielił mu święceń kapłańskich, a następnie obejrzał tablicę umieszczoną w Bazylice na pamiątkę Jego wyświęcenia na kapłana i odwiedził urządzone w ostatnim roku na Jego rozkaz w pałacu laterańskim międzynarodowe muzeum misyjne. Kielich złoty, którego użył przy tej jubileuszowej mszy św. podarował Ojciec św. kościołowi.

Samochodowi, w którym się Ojciec św. w towarzystwie ks. kardynała Caccia udał do Bazyliki, towarzyszyły dwa dalsze samochody, w którym zajęł miejsce naczelny zarządca Watykanu, komendant żandarmerji papieskiej i prałaci przyboczni. Kiedy Ojciec św. wszedł do świątyni, wprowadzono go uroczyste, niosąc przed nim dwa starożytne, drogocenne krzyże, a ks. kardynał Pompilji wedle zwyczaju dawnego, doręczył mu dwa klucze do Bazyliki, jeden złoty i jeden srebrny; klucze te Ojciec święty tylko dotknął, a potem uklęknął i ucałował krzyż podany. Podczas gdy organista zagrał hymn triumfalny, Ojciec św. pomodlił się krótko przed Najśw. Sakramentem, poczem udał się do środka kościoła i uklęknął przed relikwiami św. Piotra i Pawła. Przybrawszy się następnie przed ołtarzem w ornat, odprawił mszę św. i zasiadł w krześle, podczas gdy duchowieństwo zanuciło hymn „Ciebie Boże chwalimy”. Z kolei księża kapituły i seminarzyści zostali przypuszczeni do ucałowania stopy. Przed ołtarzem udzielił Ojciec św. uroczystego błogosławieństwa wszystkim zgromadzonym, potem ponownie uklęknął przed relikwiami św. Apostołów

i pomodlił się przed Najśw. Sakramentem, a w końcu obejrzał tablicę marmurową wmurowaną na uczczenie Jego złotego jubileuszu kapłańskiego. W uroczystej procesji udał się papież do pałacu laterańskiego, gdzie nasamprzód w sali muzealnej pokrzepił się skromnym śniadaniem, poczem obejrzał wystawę muzealną oraz salę, w której podpisana została ugoda z rządem włoskim. Zapisawszy na pamiątkę dnia tego imię swoje do wyłożonej księgi, wśród okrzyków głośniejszych zgromadzonych na placu laterańskim duchownych, zasiadł Ojciec św. w swym samochodzie i powrócił bez wszelkiej straży do Watykanu. Ludność Rzymu dowiedziała się dopiero o pierwszym wyjeździe Ojca św. z Watykanu, kiedy już był znowu powrócił do swej siedziby.

Podanie o czarnym krzyżu w Poznaniu.

W tłumie poznańskim, którego mury sięgają zamierzchłych czasów, bo okresu panowania króla Miecysława, który w Polsce zaprowadził chrześcijaństwo, i synu jego Bolesława Chrobrego, istnieje między innymi kaplica, zwana kaplicą Najświętszego Sakramentu. W ołtarzu kaplicy tej wisi krzyż ciemnej barwy, który wśród pobożnych ludności uchodzi za cudowny i stał doznaje wielkiej czci. Do krzyża tego przywiązana jest następująca legenda, sięgająca również dawnych wieków, rzekomo oparta na wypadku, jaki się miał istotnie wydarzyć, lat temu trzysta dwadzieścia.

Nowo obrany król Zygmunt III wedle ówczesnego zwyczaju po dokładnej w Krakowie koronacji zwiedzał większe miasta w kraju i przybył też do Poznania, który już należał do ważniejszych grodów. Przyjeżdżając uroczysto i serdecznie wśród tłumów licznych mieszkańców z przedmieść jako to Piekary, Rybaków, Jeżyc, Winier, Wierzbicic, Zagórza i Śródki, które dzisiaj z Poznaniem samym zwały się w jedno wielkie miasto. Orszak królewski powitały władze miejskie przed ratuszem na Starym Rynku, który wówczas był śródmieziem miasta, a potem pochód, poprzedzany cechami i licznymi bractwami kościelnymi i świeckimi, ruszył uroczystym pochodem poprzez dzielnicę zw. Chwaliszewem do tumu na Śródce. Gdy pochód przechodził most chwaliszewski, drewniany jak wszystkie w owych czasach, powstał nagle wśród tłumu z niewyjaśnionej przyczyny zamęt, a wśród ścisłu doszło nawet do bójki. Nagle rozległ się straszny krzyk i jakiś mężczyzna, krwią zalany, padł na ziemię, przez co zamęt jeszcze się zwiększył. W miejscu wypadku pojawili się nieliczni miejscy policjanci, którzy niestety już tylko stwierdzić mogli, że człowiek ów żyć przestał, a w ranie mu zadanej z tyłu, znaleźli nóż, tkwiący jeszcze w niej po samą rękkość. Ktoś popełnił zatem morderstwo, ale kto w takiej uroczystej chwili, w obecności samego króla, mógł się dopuścić takiej zbrodni i z jakiej przyczyny? Wstrzymano natychmiast wszystkich, którzy się w otoczeniu człowieka zabitego znajdowali i rozpoczęto zaraz na miejscu dochodzenia, ale te z początku były bezowocne. Naraz podchodzi do policyjny jakiś człowiek nieznanymi spojrzeniem niedobrem i niemiłym wyrazie twarzy i wskazując ręką na stojącego w pobliżu młodego rybaka, głośno posadza go o popełnienie morderstwa, twierdząc, że widział go w pobliżu człowieka zabitego a w rękę jego otwarty nóż błyszczący. Młodzieniec zbladłszy strasznie z powodu takiego oskarżenia, tak się przeraził, że niezdolny był wymówić słowa na swe uniewinnienie a zato szukał

ratunku w ucieczce. Przecisnąwszy się przez otaczający go tłum, począł z całych sił uciekać ku Rybakom, gdzie mieszkał, niepomny na to, że ucieczka musiała oczywiście uchodzić za jasny dowód jego winy. Na razie udało mu się wprawdzie zniknąć, ale wśród uczestników pochodu byli tacy, którzy go dobrze znali, więc choć nie zaraz, to go później jednak odszukano i ujęto.

Pędząc jak szalony, gnany strachem, młody rybak, nie wstrzymany przez nikogo, dopadł szczęśliwie do mieszkania, które zajmował ze swą matką. Szukając u niej schronienia, przypadł jej do nóg z okrzykiem: „Jestem niewinny! Ja nikogo nie zabiłem! To wierutne kłamstwo! Ratuj mnie matczyko!” — Matka aczkolwiek wielce zdziwiona, okrzykami syna, przytuliła go do siebie i pewna, że syn nie był zdolny popełnić zbrodni, o jaką go ktoś widocznie posadził, pocieszała go i uspokajała, jak tylko matka potrafi, gdy wtem nadjechała straż miejska i zajęła mieszkanie. Matkę zastanawiającą syna i wołającą rozpaczliwie o pomoc, odrącono a jego zakuto w kajdany, zebrano z sobą i osadzono w więzieniu miejskim.

Sąd, który się odbył w kilka tygodni po tym wypadku, przesłuchiwał wszystkich świadków, którzy się byli zgłosili i których zdołano wypośrodkować ale wśród nich był tylko jeden, którego zeznanie było pewne i jako takie mogło posłużyć do osądzenia oskarżonego, ów człowiek właśnie, który rybaka posadził był o popełnienie zbrodni morderstwa i zapewniał, że w ręku jego widział nóż otwarty. Ponieważ nikt zresztą nie mógł zeznawać na uniewinnienie młodzieńca, przeto sąd wydał wyrok, skazujący oskarżonego na śmierć przez powieszenie.

Biedna zrozpaczona matka, nie widząc żadnej możliwości uratowania syna, o którego niewinności była najzupełniej przekonana, a straciwszy wszelką nadzieję w pomoc ludzką, szukała pociechy w modlitwie, żywiąc w duszy nadzieję, że i jej syna nie opuści Ten jeden, który wszystko może, któremu nic nie tajno na świecie! Codziennie o świcie biegła kobiecina do tumu i tam, leżąc krzyżem przed ołtarzem, błagała ze łzami Stwórcę o zmiłowanie i wybawienie syna od strasznej, a nie zasłużonej kary śmierci.

I tak nadszedł dzień w którym miał być wykonany wyrok, a znikąd nie było widoku ratunku. Wypuszczono tedy okutego w kajdany skazańca z więzienia pod ratuszem i poprowadzono do dziś dnia istniejącą ulicą Wrocławską na miejsce stracenia. Za nim, zanosząc się do placu, szła biedna stara rybaczka. U wylotu ulicy, znajdowała się dawniej brama, zw. również wrocławską, której już dzisiaj dawno nie ma, a na której podówczas wisiał krzyż z wizerunkiem Chrystusa. W tem miejscu pochód ze skazańcem, prowadzonym na miejsce stracenia, zwykł był się zatrzymywać, aby miał po raz ostatni sposobność do pomodlenia się, i rozstać się ze światem. Nasz młodzieniec w obliczu tłumy ciekawych padł na twarz przed krzyżem, a tuż obok niego jego matka, zanosząc żarliwe modlitwy do Boga, aby się przecież zmiłował i zesłał ratunek jaki. W uniesieniu młodzieniec na głos zawołał: „Chryste Jezu, sedzisz najsprawiedliwszy! Czy zezwolisz, abym niechybnie poniósł śmierć haniebną!” Na to ku nieopisanemu zdziwieniu i przerażeniu wszystkich na ulicy zgromadzonych rozległ się doniosły głos, który wyraźnie szedł z ust Chrystusa na krzyżu: „A co ja uczyniłem ludzom — żem niewinny zawisnął na krzyżu?”

Wśród tłumy powstało zrozumiałe zaniepokojenie. Wobec tak jawnego cudu lud począł się domagać uwolnienia skazanego z takim naporem, że się władze nie mogły sprzeciwiać i wypuściły młodzieńca na wolność.

Później na nowo podjęte dochodzenia wykazały niezbicie, że posadzenie młodzieńca o zbrodnię było tylko zemstą ze strony skarżyciela, który, skruszony cudem, w końcu sam się przyznał, że to on zamordował człowieka równie z zemsty.

Krzyż cudowny zdjęto następnie w roku 1652 z błamy i umieszczono w ołtarzu w kaplicy tumskiej, — gdzie go dotąd oglądać można.

Rady domowe.

Pożyteczna wskazówka dla matek.

Jeśli z jednego boku drewnianego łóżeczka dziecięcego usunie się dwa szczebelki, zyskuje się przez to czterokrotnie. Po pierwsze: dziecko wkrótce zaprzestanie wychodzić z łóżka ponad bokami, gdyż łatwiej przesunąć się może przez otwór boczny łóżeczka. Po drugie: dziecko zaraz po obudzeniu się może wyjść z łóżeczka dla załatwienia nagłej zazwyczaj potrzeby. Zapobiega się w ten sposób zmaczaniu pościeli i uciążliwemu nasłuchaniu matki na zbudzenie się i wołanie dziecka. Po trzecie: dziecko przyzwyczaja się do samodzielności, choć nieraz może wyjść wtedy z łóżka w niepożądaną chwilę. Jest to jednak mała tylko niedogodność wobec wielu korzyści, wynikających z istnienia otworu. Wreszcie po czwarte: matka nie potrzebuje dźwigać dziecka przy kładzeniu go do łóżka i wymowywaniu z niego. Wiele młodych matek powinno wystrzegać się dźwigania, bądź to wskutek osłabienia wewnętrznych narządów po częstych porodach, bądź też dla chwilowej ciąży. Ulgę odczuje wówczas, jeśli dziecko samo przez otwór w łóżku usuwać się i znów wychodzić będzie z niego. Niebezpieczeństwo wypadnięcia i skaleczenia się znacznie się też zmniejsza przez to postępowe zarządzenie.

Rady kuchenne.

Budyń z mięsa na ciepło lub na zimno. 1 funt wołowiny, 1 funt wieprzowiny dwa razy przepuścić przez maszynkę od mięsa, zmieszać z dwoma całemi jajami, w maśle usmażoną cebulę siekaną, 6 do 8 wymoczonych sardelkami, do smaku dodać pieprzu, soli i 3 łyżki tartej bułki. Doskonale wszystko zmieszać i nakładać mocno do budyniowej, nakryć plasterkami świeżej okras, wstawić w naczyniu z gotującą wodą do rury w piecu i piec przez godzinę bez pokrywk, tak, aby z góry się piekło, a z dołu wodą gotowało. Budyń ten tyle wyda tłuszczu, że nie potrzeba formy smarować masłem. Na ciepło podać z sosem musztardowym lub z kaparów, a na zimno z kiszoną kapustą lub sałatą z kapusty i kartoflami tartymi.

Galaretka słodka z mleka. Zagotować pół litra mleka z 30 gramami cukru i kawałkiem skórki cytrynowej. Rozpuścić 3 łyżki białej żelatyny w małej ilości leńiej wody, dolać do mleka wraz z 1 łyżką rumu lub ma ery. Nalać wszystko do formy, wypłukanej wodą, a gdy stężeje wyrwać z formy na talerz i podać z b'szkoptami lub andrutami (wałkami).

Selery jako jarzyna. Dobrze obmyte selery ugotować w lekko osolonej wodzie ostrugać i pokrajać w cienkie plasterki. Tymczasem okulać kawałek masła w mące, zagotować go na sos w ¼ litrze mleka lub śmietanki, dodać soli, białego pieprzu i kawałek skórki cytrynowej. Włożyć do tego sosu selery, dogotować je, dodać jeszcze kilka kropki esencji Maggie i podać potrawę z tartymi kartoflami.